



MARIA KONOPNICKA

Onufer

MARIA KONOPNICKA

III. Onufer

I

Już miałam wychodzić, kiedy Jan Zaparty, z pierwszego piętra, wpadł do kancelarii.

— Proszę „wielmożnego” — zawołał zdyszany, robiąc „front” u progu. — Pod piątym rewolucja! Osmólec tak tłucze Onufra, że go oderwać nie można.

— Co to nie można! — krzyknął pan nadzorca, zrywając się z fotela. — Ruszaj po Jakuba, ciemiego, kiedy sam rady dać nie umiesz, i przyprowadź mi tu ich obu! Natychmiast! Słyszał?

— Słyszał! — odrzekł wyprostowany w kij strażnik i zniknął za progiem.

„Wielmożny” stał jeszcze chwilę twarzą ku drzwiom zwrócony, ze zbiegniętymi brwiami na pięknym, białym czole. Oczy mu się paliły, krew podeszła do skroni, w całej postaci znać było gniewne wzburzenie. Po chwili wszakże opanował się, odsapnął, a rzuciwszy przez zęby: „cymbał”, siadł i zaczął gładzić pulchną, błyszczącą pierścieniami ręką sinawy, gładko wygolony podbródek, przegarniając bujne faworyty¹ na prawą i na lewą stronę. Mitygował się², ale znać było, że mu to przychodzi z trudnością. Nie lubił, aby sprawy podobne wybuchały wobec trzecich osób, rzucił mi też z fotela swego kilka szybkich, ukośnych, dosyć cierpkich spojrzeń.

Tymczasem w korytarzu rozległ się odgłos ciężkich kroków, a do kancelarii wszedł starszy strażnik, Jakub, inaczej świętym Piotrem³ dla kluczy, którymi zwykle brząkał, zwany, popychając przed sobą drobnego, jak kogut nastraszonego więźnia z suchą, czarniawą twarzą i zuchwałymi oczyma, po których przelatowały złote i czerwone ognie. Dość było spojrzeć na niego, aby poznać, że gorący jest jeszcze od bójki, z której go wyrwana. Pięści miał zaciśnięte, na czole żyły jak postronki, kolana pod nim drżały, nozdrzami prychał, a ostre, rzadkie zęby błyszczały mu pomiędzy warg jak u brytana⁴.

Za Jakubem wszedł olbrzymi chłop w siwym, więziennym, szeroko na piersiach rozrwanym kubraku, z wielkim, głęboko między ramiona wciśniętym łbem golonym. Twarz miał dużą, ospowatą, mocno obrzękłą, a cała jego wielka, ciężka, skurczona w sobie postać przypominała wołu, ogłuszonego uderzeniem obucha.

Gdy wszedł, owinięte szmatami nogi zgiął w kolanach, łokcie w tył za siebie wysunął, a trzymając w obu rękach na obnażonej, rudo zarosłej piersi swoją aresztancką czapkę bez daszka, oczy w podłogę wbił i zaczął trząść wielką, wciśniętą w kadłub głowę.

Chłop był młody, trzydzieści lat może nie miał, ale zniszczony był strasznie. Żarło go coś widocznie i krew z niego ssało. A nie było to owo powolne, charakterystyczne wyniszczenie, jakiemu podlegają dawni więźniowie i recydywiści, ale jakaś nagła i niepowstrzymana ruina, od której pomimo ogromnej budowy swojej tak zetlał, że wydawało się, iż potrącony palcem padnie na ziemię i w proch się rozsypie. Twarz jego nie była ani beźmyślnie tępa, ani też ponura, ale leżała na niej jakaś niezgłębiona troska i wielki, wielki, niezwykłony strach; a lubo⁵ obrzękła od razów, jakie jej świeżo Osmólec zadał, znać było, że wyrazu swego nie zmieniła, że go miała przedtem i mieć będzie potem, zawsze, zawsze. Zaciętości niedawnej bójki ani śladu. Parę razy, owszem, spojrział olbrzym

Więzienie, Walka, Bijatyka

Więzienie, Władza,
Urzędnik, Gniew

Więzień

Więzień, Rozpacz,
Cierpienie, Kondycja
ludzka, Strach

¹faworyty (daw.) — bokobrody. [przypis edytorski]

²mitygować się — powstrzymywać się od gwałtownych, pochopnych reakcji. [przypis edytorski]

³święty Piotr a. Piotr Apostoł, a. Szymon Piotr (zm. 64/67) — jeden z dwunastu apostołów, pierwszy biskup Rzymu. [przypis edytorski]

⁴brytan — duży pies, używany dawniej do walk. [przypis edytorski]

⁵lubo (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

na Osmólca tak, jakby mu był wdzięczny za to, że go przed sobą widzi. Była to szczególna postać, która mnie zaciekała mocno.

Konwój zamykał Zaparty, a okrągłe, silnie wytrzeszczone oczy jego świadczyły o natężeniu mózgowicy ku spełnieniu rozkazów „wielmożnego”.

— Osmólec — rzekł pan nadzorca silnym swoim, dźwięcznie wibrującym głosem. — Ty co znów? Doigrać się chcesz?

Mały, czarniawy więzień wystąpił ku środkowi i odrzekł śmiało:

— A nic, proszę „wielmożnego”...

Już po tym jednym ruchu i po tonie mowy poznałam, że to recydywista, stary, szczywany ćwik⁶.

„Wielmożny” patrzył też na niego z pobłażaniem, jakie tu tylko dawnych i dobrze znanych aresztantów udziałem bywa.

— Jak to nic? Co tam za rewolucję pod numerem robisz?

— Ja ta nijakiej rewolucji nie robię, tylko mi poszło o spanie. Spać każdy musi.

Przygasł już w sobie, ale mówił jeszcze ostrym, świszczącym głosem człowieka zmęczonego bójką. Czuł też, widać, że słuszność przy nim, bo patrzył bystro, wprost w twarz „wielmożnego”. „Wielmożny” zmarszczył czoło i, zwróciwszy się do strażnika, zapytał ostro:

— Zaparty! A co tam znów za nieporządku w spaniu?

Wyprostowany strażnik głębiej jeszcze brzuch wciągnął w siebie, szerokie piersi wystawił, but do buta przystosował, przełknął ślinę i, szybko mrugając wytrzeszczonymi oczami, rzekł:

— Nie pokazało się tam żadnego nieporządku, wielmożny panie!

— Nie pokazało! — powtórzył po nim zuchwale Osmólec, przekrzywiając głowę i mrużąc lewe oko. — A skąd to pan strażnik wie, że się nie pokazało?

— Jezu! Jezu! — jęknął nagle po dwakroć Onufer i podniósł wzrok błędny przed siebie.

Nikt wszakże nie zważał na to, a Osmólec tak mówił dalej:

— Niech no by pan strażnik choć jedną noc nocował na mojej pryczy, to by mu się zara pokazało!

Na twarzy olbrzymiego Onufra wybiła wielka męka. Głowa jego trzęsła się coraz silniej. Osmólec całkiem się tymczasem do Zapartego zwrócił.

— A ja panu strażnikowi powiem, że kiedy tutaj siedzę, to jestem *kazienny*⁷ *harestant* i wygodę swoją muszę mieć, bo tu na mnie wszystko z *kazny*⁸ idzie! I jadło, i mundur, i spanie, i wszystko z *kazny* na mnie idzie! Wie pan strażnik?

Mówił to, zwrócony twarzą do strażnika, ale oczyma zuchwale ku „wielmożnemu” błyskał. Tę taktykę stawiania zarzutów przez elewację⁹ znałam doskonale. Używali jej zazwyczaj doświadczeni więźniowie i to z powodzeniem. Jakub, stary strażnik, znał ją widać równie dobrze, gdyż obojętnie patrzył w okno, niuchając ukradkiem tabakę, ale Zapartemu złość po twarzy kipiłątkiem¹⁰ szła. Nie patrzył on wszakże na Osmólca, tylko jak w tuza¹¹ oczy w „wielmożnego” wlepił, przekazując mu niby to wszystko, co od Osmólca usłyszał. „Wielmożny”, głęboko zasunięty w fotel, brwi miał lekko zbiegnięte i palcami podług zwyczaju po stole bębnił; piękne jego czy podnosiły się przy tym i spuszczały długim, powłóczystym spojrzeniem.

Zdawać się mogło, iż wywodów Osmólca przez roztargnienie tylko słucha, a myśl ma zajęta innymi, stokroć ważniejszymi sprawami.

I ta kancelaryjna taktyka obca mi nie była. Wyznać nawet muszę, że przyniosła ona pewne, dość znaczne korzyści, a mianowicie pozwalała wyświetlić się sprawie bez nakładu osobistego badania pomiędzy możliwymi zarzutami, możliwość zaś taką zawsze przewidywać należało, a władza stawiała mur ochronny, niejednokrotnie dla powagi tejsze władzy

Władza, Urzędnik,
Więzień, Więzienie,
Konflikt

⁶ćwik (daw.) — doświadczony, przebiegły człowiek. [przypis edytorski]

⁷kazienny (daw.) — skarbowy, skarbnik. [przypis edytorski]

⁸kazna (daw.) — skarb, kasa. [przypis edytorski]

⁹elewacja — tu: podniesienie, wywyższenie. [przypis edytorski]

¹⁰kipiątek (daw.) — wrzątek. [przypis edytorski]

¹¹tuza — osoba na wysokim stanowisku lub o wysokich kompetencjach. [przypis edytorski]

konieczny; wreszcie bagatelizowała, że tak powiem, sprawę samą w oczach osób trzecich, wypadkowymi i niepożądanymi świadkami jej będących.

Najkomiczniejszym było to, że każdy z aktorów tego przedstawienia znał doskonale role wszystkich innych i że pomimo to sztuka ta odgrywała się z całą powagą, należną wielkiemu zielonemu stołowi, urzędowo żółtym ścianom, zapyłonym stosom papierów oraz innym akcesoriom biurowym.

— A po drugie — mówił dalej Osmólec — człowiek trzeci raz już tu, chwalić Boga, siedzi, to wie, co do czego jest przynależące. Co złodziejstwo — to złodziejstwo, a co zbójnictwo — to zbójnictwo! W jednym insza polityka, a w drugim insza polityka. *Kuźdy* ma swój *honor*! I pan strażnik ma swój *honor*, i ja mam swój *honor*. Kiedym ukradł, to ukradł, to swoja rzecz, to mi nie pierwsze! A z takim zbójem świętokrzyskim¹² graniczyć mi nie potra! Pan strażnik dobrze wtedy na trzeci bok się wyrócił, kiedy Onufer jak zapomniały po nocach się ciska, żeby jego choroba utłukła! Onegdaj¹³ a to świecę szewcom od lojenia¹⁴ porwał i jak gromnicę przy pryczy palił. Jeszcze kiedy całe *posiedzenie*¹⁵ het precz z dymem puści!

Zmarszczył się „wielmożny”, głowę uniósł nieco i spod brwi, nasuniętych gniewnie, na Zapartego spojrział. Strażnik stał wyprostowany i również w twarz „wielmożnego” patrzył. Co do starego Jakuba, ten z wielką uwagą obserwował szmat pajęczyny, wiszącej nad piecem, i dwa palce w tabakierce trzymał. Była to sytuacja nieocenionego komizmu pełna.

— A dziś — mówił Osmólec, obtarłszy usta wierzchem ręki — to tak jęczał bez caluszką noc, jakby jego kto rznął! Niestrzymane rzeczy! Człowiek, jak się uładzie, to by i spał, bo ma ze wszystkim czyste sumienie; a taki *duszegub*¹⁶ i *dysperak*¹⁷ to i sam nie śpi, i drugiemu nie da! Ino światło zgaśnie, zara stęka, że coś przed nim stoi? Ja za nim palki nie nosi! Człowiek, chwalić Boga, swój wyrok ma i za swój siedzi, a do inszych to mu ta nic! Żebym ja miał nad każdym zbójnikiem stękać, to bym się dawno rozpukł!

— Jezu! O Jezu! — glucho znów jęknął Onufer, ale nikt nie zważał na to.

Osmólec zaś tak rzecz swoją kończył:

— A pan strażnik kiedy taki mądry, to niech Onufra na osóbek¹⁸ wytransportuje, to pod numerem nijakiej rewolucji nie będzie! Bo tam same porządne ludzie siedzą i już! Wie pan strażnik?

Nastawił się i aż w biodrach przysiadł. Przechodziło to widać miarę zwykłej bezczelności, bo stary Jakub splunął w bok i z szelestem ślinę butem zatarł.

— No, no! — zawołał, marszcząc czoło, pan nadzorca. — Nie bądź taki rezolutny! To ty nie wiesz, że za bijatyki *ciemna*¹⁹? Jeśli ci się krzywda dzieje, to masz kancelarię! Masz mnie! A samemu sobie sprawiedliwości robić nie wolno!

Osmólec rzucił spode łba na „wielmożnego” szybkie, zadziwione spojrzenie. Tego tonu nie spodziewał się, widać. Nie brał widocznie w rachubę mojej obecności. Po twarzy jego przemknęło najpierw zaniepokojenie, a potem szybka decyzja. Podszedł do fotela i uściśnął „wielmożnego” za kolana.

— A cóż to wielmożny pan — mówił wzruszonym głosem — mało się nad nami naturbuje, namęczy, żebym ja za lada głupością²⁰ do kancelarii latał i wielmożnego pana fatygował? A czy mi to wielmożnego pana zdrowie niemiłe albo co? A to by mnie Pan Bóg za to ciężko skarał! Toć wielmożny pan nade mną ojciec i opiekun najukochańszy! Żeby nie wielmożny pan, to by ja był ze wszystkim sierota!...

Tu nos w palce wytarł i chlipać począł! Zapatrzył się na niego Jakub, a tak był przejęty mistrzowskim wykonaniem tej sceny, że, tabakę w palcach trzymając, nie niósł jej do nosa.

— Ani ja ojca, ani ja matki, ani żadnego przyjaciółstwa! — chlipał Osmólec. — Hu! hu! hu!... Bóg tylko jeden nade mną na niebie, a drugi wielmożny pan na ziemi, hu!...

Więzienie, Noc, Sen,
Cierpienie

Więzienie, Kara

Łzy, Więzień, Urzędnik,
Sierota, Fałsz

¹²zbój świętokrzyski — prawdopodobnie nawiązanie do postaci regionalnego zbrojnika, Jaśka Ozgi. [przypis edytorski]

¹³onegdaj (daw.) — dawniej, kiedyś. [przypis edytorski]

¹⁴lojenie (daw.) — smarowanie czegoś lojem. [przypis edytorski]

¹⁵posiedzenie — tu: wszyscy zgromadzeni w danym miejscu. [przypis edytorski]

¹⁶duszegub (z ros.) — zabójca dusz, bandyta, morderca. [przypis edytorski]

¹⁷dysperak a. desperak (daw., gw.) — człowiek trudny we współżyciu, nieznośny. [przypis edytorski]

¹⁸osóbek (daw.) — odosobnienie. [przypis edytorski]

¹⁹ciemna — karcer więzienny. [przypis edytorski]

²⁰głupości (gw.) — głupstwo, głupota. [przypis edytorski]

Hu!... Niech ta dziesięć razy bez dzień na mnie strażnik skarży, hu! hu! hu!... A ja ojca swego i wielmożnego opiekuna, i dobrodzieja swego nie będę o lada co turbował, hu! Hu! Ja wielmożnego pana tak kocham jak dziecko matkę!... Hu! Hu! Hu!... Bo mi wielmożny pan za matkę stoi i za wszystkie majątności! Hu... Hu...

Mówił szybko, płaczącym głosem, spode łba tylko zerkając, jak mu się ta sztuka udaje.

— Dosyć! Dosyć już! — przerwał pań nadzorca z ojcowską surowością w głosie.

Osmólec jednak chlipać nie ustawał.

— Wielmożny pan mnie słuchać nie chce, hu... Hu... Hu... A ja bym wielmożnemu panu nóżki umył i brud wypił, hu! Hu!... Jak ja stąd wyszedł na jesień, hu! Hu!... Tom sobie rady nie mógł dać bez wielmożnego pana! Żeby mi srebro, złoto dawali, żebym w aksamitach chodził, to bym bez wielmożnego pana żadnego wskórania nie miał!... Hu! Hu! Hu!... Hu!... Dopiero, jakim się tu powrócił, a wielmożnego pana zobaczył, hu! Hu!... To mi tak było, jakbym się na świat drugi raz narodził... Hu!... Hu!... Hu!... A wielmożny pan za moje kochanie... Hu! Hu! Hu!...

Aż mnie dziw brał, że pan nadzorca tak długo Osmólcowi gadać pozwolił, ale przypomniałam sobie, że, sam krasomówca, w bystrej mowie się kochał i obrotnego języka rad słuchał.

Tymczasem Osmólec plackiem na podłogę padł i buty „wielmożnego” całował, chlipiąc głośno.

— No, no! Bez tych czułości — rzekł miększym już głosem pan nadzorca.

— Ostatni raz ci daruję, pamiętaj! Jak tobie nie wstyd nawet, takiemu staremu, porządnemu aresztantowi, co już trzeci raz tu siedzi i przykładem dla innych być powinien, za łby się z frajerami wodzić! Nie spodziewałem się tego po tobie! Zawsze cię do porządnym ludzi liczyłem, a ty mi taki zawód, taki wstyd robisz! Pfe! Martwisz mnie!

— Hu! Hu! Hu!... — beczał Osmólec, plackiem na podłodze leżący. — Ja bym dla wielmożnego pana krwi z małego palca utoczył! Ja bym wielmożnemu panu śmiertelny grzech powiedział! Ja wielmożnego pana tak kocham, że się we mnie wnętrzości od żalu pękają, jak wielmożny pan się na mnie gniewa! Hu! Hu! Hu!...

— No, dosyć już, dosyć — rzekł, podnosząc go łaskawie, pan nadzorca. — Ruszaj pod numer i żeby mi tam było spokojnie! Rozumiesz?

— Rozumiem, wielmożny ojcie i opiekunie najukochańszy! Rozumiem!

Podniósł się Osmólec, stęknął, pociągnął kilka razy nosem, pięścią wytarł oczy, w których jakoś łez nie było widać, i ku progowi się cofnął.

Zaparty, wyprężając tymczasem kolejno wszystkie swoje mięśnie, zdołał nareszcie przybrać jak najbardziej poprawną, w stylu kancelaryjnym, postawę. Istotnie, wyglądał on jak epileptyk w napadzie tęcza. Oczy już nawet nie mrugał, bo mu kołem, wpatrzone w twarz „wielmożnego”, stanęły.

Stary Jakub miał je za to do połowy zmrużone, jakby, znudzony znanym widowiskiem, usypiał; głowa mu też nieco z karku zwisała, co go czyniło podobnym do starej szkapy, która, lubo w zaprzęgu, z lada przystanku korzysta, aby łeb stary zwiesić i zdrzemnąć na chwilę. Co do pana nadzorcy, ten był promieniejący i poglądał na mnie z pogodnym tryumfem, rad widocznie, że aresztant tyle sprytu i polityki okazał, a jego jasne, piękne oko zdawało się mówić:

— A co? Tak u nas! Szaleją po prostu za mną ci hultaje!

A tam, u progu, z wbitymi w podłogę oczyma stał tymczasem olbrzymi Onufer, w siwym swoim rozerwanym kubraku, coraz silniej cisnąć czapkę do szerokiej, obnażonej piersi. Tęgo, co się dokoła niego w kancelarii działo, zdawał się nie widzieć i nie słyszeć wcale: głową tylko na obie strony chwiał i brwi na żółkłym i zorany przedwcześnie czole wysoko podnosił, jakby się dziwił czemuś i czymś przerażał w sobie. Po czym znów nagle trząść się zaczynał i stękał jak ciężko chory człowiek.

Osmólec, przechodząc koło niego, rękę w kulak ścisnął i wysuniętym knykiem wielkiego palca w biodro go pchnął. Wielki Onufer ocknął się i spojrzął na niego zmałym wzrokiem, na jego twarz śmiertelnie stroskaną nie wybił się najmniejszy ślad niechęci. Po czym zaraz oczy wbił w ziemię i brwi nad czołem w niezmiernym zadziwieniu podniósł.

Ironia

Więzień, Kondycja ludzka,
Cierpienie

— A cóż ty tam! Nie ruszysz się? — przemówił po małej pauzie pan nadzorca. — W ziemię wrosłeś czy co?

Szturchnął go ponownie Osmólec.

— Dalej go! Będiesz tu jak drąg stał, kiedy nasz wielmożny ojciec i opiekun najukochańszy do ciebie gada! A padnijże do nóg pańskich! A podziękujże wielmożnemu panu!

Ale Onufer, zamiast ku fotelowi podejść, jak stał, tak na kolana u drzwi runął, a podniósłszy obie ręce trząść nimi zaczął, wołając zdławionym głosem:

— Ani drgnął! Ani zipnął, chudziaszek! Inom go raz... I ani drgnął! Ani tchu nie puścił! O Jezu! Jezu! Jezu!...

Rękami nad głową splasnął, palce splótł i czołem o podłogę z głuchym łoskotem uderzył, a ogromny, do ryku podobny jęk wstrząsnął żółtymi ścianami kancelarii. Pan nadzorca cofnął się od stołu z fotelem, chociaż go prawie cała długość pokoju od Onufra dzieliła, i przybladł nerwowo. Był wrażliwy i nie lubił scen, przechodzących miarę zwykłego, łagodnie roztkliwionego liryzmu.

Widząc to, Osmólec znów kilka kroków ku środkowi postąpił i, pochylając się z miną zaufańca, rzekł:

— I nie bydlę to, proszę wielmożnego? I to tak bez caluskie noce idzie! Świętemu by cierpliwości brakło!

— Ani drgnął... Ani zipnął!... Jak ten ptak... Jak ten ptak... — głuchym, zduszonym rykiem powtarzał Onufer. — O moje dziecko, moje dziecko! O Jezu! Jezu! Jezu!

Twarz pana nadzorcy zachodziła złowrogim cieniem. Palce jego coraz szybciej po poręczy fotela bębniły, a brwi zbiegły mu się nad gniewnymi oczyma groźne i drgające.

Chwilę trwało milczenie.

Zaparty, który przy runięciu Onufra na kolana wyszedł był nieco z „frontu”, znów się wyprężył do niemożliwości, a stary Jakub szyję z niebieskiej, obwiązującej ją chustki wysunawszy, głowę ku „wielmożnemu” podniósł i nozdrza nastawił.

Tak zmyślny wyżeł patrzy w oczy panu, rychło powieką mrugnie albo palcem ruszy.

— Do *ciemnej* go! — zakomenderował „wielmożny”.

W jednej chwili zerwał się Onufer na klęczki i ręce do „wielmożnego” wyciągnął:

— Panie! — zawołał. — Panoczku! Panie *miłosierdny!* Różgami sieć każcie, język zakneblujcie, strawę odejmijcie, ręce i nogi zakucijcie, ale do *ciemnej* nie sadźcie! Nie sadźcie do *ciemnej*, panie *miłosierdny*, bo on tam z każdego kąta na mnie patrzy... Panoczku *miłosierdny*, nie sadźcie.

Na szeroką, obrzękłą twarz jego wystąpił wyraz śmiertelnego strachu, zaciśnięte ręce trzeszczały w stawach i trzęsły się ku „wielmożnemu” konwulsyjnym ruchem, oczy otwierały się coraz szerzej, głos chrypiał. Począł się wreszcie Onufer na kolanach ku fotelowi czołgać, powtarzając: „Panie *miłosierdny!* Panoczku *miłosierdny!*...”.

Czołgał się powoli, ciężko, ciągnąc za sobą grube swoje, obwinione szmatami nogi jakby wielki, wielki, wielki ciężar.

Widok był tak straszny, że mimo woli złożyłam ręce i pochylłam się ku nieszczęślikowi.

A wtedy pan nadzorca wstał i rzekł suchym głosem:

— Na dwadzieścia cztery godzin!

Zakotłowało się u proga, strażnicy przy pomocy Osmólca chwycili olbrzymiego chłopca, pchnęli go, po czym drzwi się zamknęły, a ciężkie kroki oddalających się cichły stopniowo w długim korytarzu więziennym.

2

Na kilka tygodni przed wyżej opisaną kancelaryjną sceną jedno z pism miejscowych podało następujący artykuł:

„Sądowa izba warszawska rozpatrywała w dniu wczorajszym na pełnym posiedzeniu sensacyjną sprawę o zabójstwo kupca N., właściciela sklepu towarów kolonialnych w X., spełnione w miesiącu wrześniu r.b.

Sprawa ta po wysłuchaniu oskarżonego i świadków przedstawia się, jak następuje:

Przed dwoma blisko laty kupiec N. przyjął na parobka Onufrego Sęka, pochodzącego ze wsi Witaszewice²¹, powiatu X, guberni X, który po nastąpięj tamże pogorzeli²² do miasta, szukając zarobku, przybył. Powołani świadkowie zgodnie zeznają, iż Onufer Sęk obowiązki swoje sumiennie pełnił, dobra pańskiego wiernie pilnował, trzeźwy był, uczciwy i spokojny.

Co zaś do osoby samego kupca N., utrzymują oni, iż dla służby był srogi, źle ją żywił i w wypłacie zasług krzywdził. Zeznają dalej świadkowie, między którymi jest wielu dawnych sług zabitego, iż żaden z nich dłużej nad kwartał w służbie tej wytrwać nie mógł, a byli i tacy, którzy ją już po kilku dniach rzucali. Gdy zaś przy wzrastającej zgryźliwości i porywczoci charakteru kupca N., który, bezzennym będąc, sam gospodarstwo prowadził, coraz trudniej o ludzi było, Onufer całą robotę w domu i w sklepie sam spełniać musiał, gotując przy tym i usługując do stołu pryncypałowi. Usługiwanie to i gotowanie najwięcej mu się przykrzyło. Kupiec bowiem, ilekroć mu parobek w czym nie dogodził, rzucał w niego to szklankę z wodą, to widelec, to talerz z zupą, tak iż w kamienicy zwyczajną było rzeczą widzieć parobka poparzonego, pokrwawionego, z sińcami i guzami na głowie i twarzy. Dziwiono się powszechnie, dlaczego Onufer innej sobie służby nie szuka, ale źle płacony, lichy żywiony i codziennie poniewierany mimo to pana swego się trzyma. Ci, którzy na uczciwość i pracowitość parobka z bliska patrzyli, podejmowali się nawet dobre miejsce mu nastreczyć, ale Onufer odstać od kupca nie chciał. Po każdej nowej krzywdzie widziano go, jak, siedząc na schodkach od podwórza, gorzko płakał, ale gdy kupiec na niego zawołał, lzy ocierał i znów do roboty stawał. Tajemnicą tej wytrwałości było niezmierne przywiązanie parobka do dwunastoletniego Julka, chłopca sklepowego, sieroty, który, równie poniewierany jak Onufer, miejsca przecież opuścić nie mógł, ponieważ oddany tam został przez opiekuna swego, a zarazem powinowatego kupca N. Jeden ze świadków opowiada, że nieraz widział, jak chłopczyna z płaczem na piersi parobkowi się rzucał i jak Onufry pocieszał, głaskał i całował sierotę; jak go nawet na ręce brał niby małe dziecko. Sypiali też razem na pawlaczu w kuchence, a kiedy parobkowi udało się kilka złotych zasług otrzymać, to buty chłopca do podzelówki dawał, choć sam w drewnianych trepach tylko chodził, to mu czapkę kupił, to nawet brudne koszule Julka sam nocami pierał, za uprasowanie ich płacąc stróżce po parę groszy. Sierota też całym sercem do parobka przyrósł, a kiedy widział, że Onufer nad dolą swoją płacze, przynosił mu to parę kawałków cukru, to kilka rodzynków, rzucał mu się na szyję i póty go całował, póki się Onufer nie rozjaśnił.

W niedzielę, dnia szóstego września, to jest w dniu, w którym zabójstwo spełnione zostało, Julek do opiekuna swego od rana jak zwykle w święto poszedł, parobek zaś obiad zgotował i na stół podał. Pan jego był w wyjątkowo złym humorze i pod pretekstem, że zupa przesolona została, wazkę cynową z gorącym krupnikiem w twarz parobkowi cisnął, po czym, resztę obiadu zjadłszy, na sofkę w stołowym pokoju stojącą dla poobiedniej drzemki się położył. Parobek się tymczasem wyplakał, obmył i ze stołu sprzątać bez żadnej złej myśli przyszedł, gdy jednak dręczyciela swego uspionego zobaczył, złość i żalność w nim zakipiła, chwycił wielki gwicht²³, w kącie pokoju na decymalnej²⁴ wadze stojący, i, uderzywszy nim śpiącego w głowę, na miejscu zabił. W tej właśnie chwili wbiegł na próg powracający Julek i, zobaczywszy trupa, który się z sofki na ziemię stoczył, zakrzyknął. Onufer bezprzytomnie ku niemu się rzucił, za szyję chłopczynę chwycił i trzymanym jeszcze w ręku gwichtem w głowę go ugodził. Krew i mózg bryznęły wysoko na ścianę,

Praca, Krzywda, Pozycja społeczna, Przemoc

Sierota

Morderstwo

²¹Witaszewice — polska wieś, położona w województwie łódzkim. [przypis edytorski]

²²pogorzeli (daw.) — pogorzeli. [przypis edytorski]

²³gwicht (daw.) — odważnik. [przypis edytorski]

²⁴decymalny — dziesiętny; waga decymalna to przyrząd, używany do wyznaczania dużych ciężarów za pomocą odważników dziesięciokrotnie lżejszych. [przypis edytorski]

a chłopiec jak stał, tak padł, raz tylko krzyknąwszy... Przybyłym w parę godzin po katastrofie przedstawił się następujący widok:

Kupiec N. leżał na podłodze martwy tuż obok wybitej skórą sofki, przy drzwiach zaś mały, rozciągnięty na ziemi sierota z głęboko pękniętą czaszką.

U nóg chłopca leżał wpół nieprzytomny parobek, ściskając jeszcze morderczy gwicht w ręku.

Ujęty nie bronił się i do spełnionego podwójnego morderstwa od razu się przyznał. Ma on lat 25, a odznacza się niezwykle silną budową i olbrzymim wzrostem. Gdy mu na sali sądowej przedstawiono poplamione krwią ubranie zabitego chłopca, zachwiał się i padł zemdlony. Publiczność jest niezwykle zajęta tą nader sensacyjną sprawą, o której dalszym przebiegu czytelników naszych poinformować nie zaniechamy”.

3

— A cóż tam z Onufrem? — zapytałam raz starego Jakuba, spotkawszy go na schodach.

Jakub spojrział na mnie z namysłem, tabakierkę dobył i, zanurzwszy w niej swoje wyschłe, sękaty palce, rzekł: Phi!... Cóż ta już Onufrowi! Wczora minął tydzień, jakeśmy go pochowali.

— Jak to? Umarł?

— A umarł.

— I z jakiej choroby?

— Choroby — odrzekł Jakub, z wolna otrząsając szczyptę — to tak akuratnie żadnej nie miał. Przecie mu i felczer²⁵ pijawki stawiał, i pan doktor mu proszki dawał, to jakby miała być jaka choroba, to by się i pokazała. A tu nic!

Zażył tabakę, zmrużył oczy, pociągnął nosem i tak mówił dalej:

— Tak mu oto błąd jakiś do głowy przystąpił, że umarł.

— I cóż to było?

— Cóż to miało być! Bieda była i tyle!

Obejrzał się na lewo, obejrzał się na prawo, a potem rzekł:

— Bez te ostatnie czasy to już nawet i pod numerem nie siedział, bo z nim insze aresztanty wytrzymać nie mogły, a co i raz to dalej go, bijatyka. Aż go „wielmożny” na osóbkę w komórce obsadził, tam, gdzie te szewcy skład na skóry wprzód mieli. Jak go też „wielmożny” obsadził na osóbkę, tak się wieszac chciał. Ano dobrze. Ale żeśmy go oderżnęli i do ciemnej coś na tydzień poszedł, więc już się tego potem nie chwycił. Ale i tak wskórania z nim nie było. Dzień jak dzień. Ale jak tylko Pan Bóg noc dał, tak do mego Onufra zara błąd przystępuje. Ino chodzi, ino ręce składa, ino cośi prawi, a stęka, a płacze, aż ogrąża²⁶ człowieka słuchający. A precz się prosi, żeby go na powrót pod numer dać. „Jakże cię pod numer dać — pedam²⁷ — kiedy cię tam insze aresztanty tłuką?” — „A niech mnie ta tłuką — peda — niech i zatłuką, żebym ja aby sam nie siedział!”. Ale „wielmożny” przykazał, co by w komórce został. Tak patrzę ja raz przez luft²⁸ we drzwiach, a miesiąc tak stał na niebie jako rybie oko i cała ona komórka aż biała była od jasności, a tam mój Onufer w kącie plecami do muru przyparty w jednej koszuli jak ten świętek²⁹ stoi, ręce złożone przed sobą trzyma, nogi się pod nim trzęsą jak w zimnicy³⁰, a on sam dopieroż tak się modli, tak molestuje, właśnie jakby tam kto przed nim stał.

— O moje dziecko — peda — o moje kochające! Czemuś ty wtedy wyszło w złą godzinę? O moje dziecko najmilsze! Toć ja ciebie ubić nie chciał! Toć ja ciebie jak własną duszę miłował!

Patrzę ja, wytrzysszam oczy, nikogo w komórce nie ma, a ten się precz trzęsie a modli.

Śmierć, Więzień

Kara, Okrucieństwo,
Sumienie, Szaleństwo,
Strach

Więzień, Szaleństwo,
Rozpacz

²⁵felczer (daw.) — osoba uprawniona do wykonywania nieskomplikowanych zabiegów medycznych. [przypis edytorski]

²⁶ograżać (daw.) — mieć dreszcze, trząść się. [przypis edytorski]

²⁷pedać a. padać (gw.) — powiadać, powiedzieć. [przypis edytorski]

²⁸luft (daw.) — tu: otwór. [przypis edytorski]

²⁹świętek — ludowa figurka świętego. [przypis edytorski]

³⁰zimnica — malaria. [przypis edytorski]

— O moje dziecko, odpuść ty mnie — peda — odpuść ty mnie swoją śmierć niewinną! O moje dziecko najmilsze — peda — kochanie moje najśodsze!

Tak ja do niego: „Onufer! Co z tobą?”. Tak on nic, tylko patrzy na mnie jak błędny. Tak ja do „wielmożnego”. Tak i tak, wielmożny panie, baczenie mieli po onym wieszaniu! Tak „wielmożny” idzie, patrzy, akuratnie wszystko prawda. Chłop w jednej koszuli stoi i trzęsie się jak ta osika w boru. Tak „wielmożny”, że to miłosierne serce ma, zaraz mi kazał świecę wziąć, zapalić i Onufrowi ją z latarką w komórce postawić. Tak się dopiero ono chłopisko układło.

Umilkł i zażył tabaki, po chwili zaś tak mówił dalej:

— Ale mu ta i tak nie plażyło³¹. Jedzenie to i do trzeciego dnia stało, jakem nie zabrał, a prosiętom pana sekretarza nie dał. Tak chłop wychudł, że się tylko skóra ponapinała po kościach, a tak szczerniał jak ta święta ziemia. Aż go też do lazaretu³² wzięli. Jak go też do lazaretu wzięli, tak mój Onufer do cna skapiał³³. Leżeć nie leżał, chorować nie chorował, tylko tak sobie co nieco do głowy dopuszczał, po całych dniach pacierz mówił, w piersi się bił, a już jak wieczór przyszedł, to ino cości po kątach upatrował i do onego chłopaka, co go pono ubił, jakby do żyjącego gadał, i różnie go ta nazywał, że i rodzony ojciec lepiej by nie potrafił. Aż też jednej nocy zmarło ono chłopisko, w kącie klęcząc. Józef, ten czarny z lazaretu, co go z Szymonem na tapczan z onego kąta wyniósł, powiadał, że taki był letki jak ten snop omłócony... Aż im dziwno było.

Zanurzył dwa palce w tabakierkę i wziął sporą szczyptę, utrzęsając z niej po trochu i w palcach ją ważąc.

— A cóż Osmólec? — zapytałam jeszcze.

Stary nie odpowiedział zrazu, ale obejrzał się na lewo, obejrzał na prawo i, wzięwszy tabakę, nosem kilka razy czmychnął³⁴.

— Iii... Cóż tam Osmólec! — rzekł wreszcie. — Takiemu Osmólcowi biedy nie ma! Trzeci raz tu już siedzi, więc jest we wszystkim człowiek znający. Ano wziął go „wielmożny” do siebie, do kredensu...

Więzienie, Pozycja
społeczna

³¹plażyć (daw., gw.) — podobać się, służyć, iść na zdrowie. [przypis edytorski]

³²lazaret — szpital wojskowy lub więzienny. [przypis edytorski]

³³skapieć (daw.) — zmarnieć, zginąć. [przypis edytorski]

³⁴czmychnąć — tu: gwałtownie wypuścić powietrze przez nos. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/konopnicka-onufer>

Tekst opracowany na podstawie: Maria Konopnicka, *Obrazki więzienne*, wyd. Arcanus, Bydgoszcz 1990.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Elżbieta Sekuła, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: *Żarnowiec* : Marya Konopnicka na werandzie., autor nieznan, domena publiczna

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.